



Bernard Ładysz

## WILNIUK. BERNARD ŁADYSZ

Ależ to był bas! Wspaniały, soczysty, krągły, z absolutną naturalnością prowadzony, z wileńskim zaśpiewem w polszczyźnie. Młode polskie basy próbowały go naśladować, ale owa miękka, kresowa intonacja wymowy była nie do podrobienia. Ballady *Trzech Budrysów* nikt nie mógł zaśpiewać lepiej od Bernarda Ładysza, który jak sam Moniuszko, stary Budrys z synami i autor wiersza, Adam Mickiewicz, wzrósł na wileńskiej ziemi. Ba – nie tylko tej ballady. Cechowała Ładysza rzadka u śpiewaków wszechstronność. Tworzył kreacje w repertuarze rodzimym, rosyjskim i włoskim, w dziełach współczesnych, w pieśniach i piosenkach.

Skołubą w *Strasznym dworze* Moniuszki był nieprześcignionym, choć zanim objął tę rolę, dziesiątki razy odtwarzał Zbigniewa. Pysnie go grał w *Strasznym dworze* nietypowym, bo utrzymanym w stylu buffo w Warszawie przez Bohdana Wodiczkę i Aleksandra Bardiniego (1963); za sprawą scenograf Teresy Roszkowskiej miał tam wysoką falę na czuprynie peruki i okrągłe oczy pięknie, uwodzicielsko się uśmiechał pod czarnym doklejonym wąsikiem. Debiutował w Operze Warszawskiej, podobno w nagłym zastępstwie, jako Księżę Gremin w *Eugeniuszu Onieginie* (1950), wcielił się w postać Króla René w *Jolancie* Czajkowskiego (1955). Rolę życia stworzył w *Borysie Godunowie* Musorgskiego (1960) w reżyserii Bardiniego pod batutą Jerzego Semkova. Wystąpił w niej w Teatrze Bolszom w Moskwie (1963), w Budapeszcie, Belgradzie i Berlinie, i w nowej wspaniałej inscenizacji w Teatrze Wielkim w Warszawie (1972). Razem z nim przeżywało się dramat cara; w scenie śmierci walił się ze schodów. Do legendy przeszedł jego Król Filip, zwłaszcza w scenie z Wielkim Inkwizytorem, czyli młodym Markiem Dąbrowskim - w *Don Carlosie* Verdiego, fantastycznie w Warszawie wystawionym przez Czechów, Ladislava Štroša i Josefa Svobodę (1964). W albumie Polskiego Radia dokumentującym jego śpiewaczy talent (PRCD 3CD 521-523, 2004) znajduje się ta scena nagrana przez samego Ładysza: dwie postaci artysta różnicuje barwą głosu.

Repertuar włoski Ładysz praktykował we Włoszech. W 1956 wygrał międzynarodowy konkurs wokalny w Vercelli uzyskując II Primo Premio Assoluto i w tymże roku został na krótko solistą Teatro Massimo w Palermo. Odtwarzał tam basowe partie w operach Verdiego jak *Don Carlos* właśnie i *Nieszpory sycylijskie* (Procida) oraz w *Cyruliku sewilskim* Rossiniego (Don Basilio). Barbara Bittnerówna, nagrodzona w kategorii tańca na tym samym konkursie opowiadała, że w mediolańskim studio telewizyjnym, gdzie występowali, cały personel i ekipy techniczne zamarły, słysząc głos Ładysza; potem nagrodzono go owacją. Laureatów dyrekcja La Scali zaangażowała na wielkie tournée, po kilku miastach Włoch, i Szwajcarii, Francji, Niemczech Zachodnich. Za partnerów miał, spośród największych, Victorię de Los Angeles, Antoniettę Stellę, Franco Corellego, i basy Cesarego Siepię, Borisa Christowa, Mikołaja Giaurowa. Istnieje, z tamtego czasu, znakomite wykonanie monologu Fiesca z *Simona Boccanegry* „A te l'estremo addio”, dostępne na innym kompakcie „Ładysz & Ładysz”, nagrany z synem Zbigniewem (STD 010 CD, 1994). Sławny dyrygent Tullio Serafin zaprosił go do rejestracji w Londynie dla Columbii (1959) partii Rajmunda w *Łucji z Lammermoor* Donizettiego z Marią Callas w roli tytułowej. Czy ktoś z polskich śpiewaków ma płytę nagraną z Marią Callas? Nikt. A Ładysz ma.

Inną grupę ról włoskich stanowią komediowe. Tytułowym Don Pasquale (1961) bawił publiczność Opery Warszawskiej, mieszczącej się jeszcze wtedy przy ulicy Nowogrodzkiej w gmachu „Romy”. Fotografia rozłożzonego Ładysza w peruce z puklami loków na sztucznej łysinie i Agnieszki Kossakowskiej (Norina) z różą na czubie fryzury i buzią w ciup, zdobi dawny *Iskier przewodnik operowy* Karola Stromengera; można by ją uznać za symbol klasycznej buffy. Jako safandulę Uberta przy uroczej Bognie Sokorskiej skromna



Bernard Ładysz

naonczas widownia telewizyjna oglądała w małej operze Pergolesiego *La serva padrona* transmitowanej z foyer Filharmonii Narodowej. To kapitalne przedstawienie, które zapoczątkowało działalność Warszawskiej Opery Kameralnej (1961), zagrano później kilkakrotnie w Teatrze w Starej Pomarańczarni, i szczęśliwcy, co zdobyli bilety, mogli tam podziwiać Ładysza. Urodzony aktor, dosłownie do spazmów śmiechu doprowadzał w monodramie Cimarosa *Il maestro di capella* na Scenie Kameralnej stołecznego Teatru Wielkiego (1971). Wyśmienity był w czterech diabolicznych wcieleniach Lindorfa w *Opowieściach Hoffmanna* Offenbacha (1962). Naprawdę niesamowity - kiedy z cieni, wciąż inny, wychylał się na scenę, wręcz budził lęk. No a jego Mefisto w *Fauście* Gounoda! rola, za którą, jak mówi, w młodości szalał, i występował w niej dobrych parę lat. Tuż po warszawskiej premierze w lipcu 1956 roku znalazł się na okładce pisma „Teatr”: z doprawionym haczykowanym nosem, w ostrej charakteryzacji, łyskający bielą zębów, w kapeluszu z piórkiem, niby szlachetka z kordem przy boku – bies, a jednak człowiek, pisano. Gdy pojawił się na przedstawieniu w grudniu, świeżo po triumfach we Włoszech, publiczność, co obsiadła wszystkie krzesła i obstawiała ściany, przywitała go huraganem braw. To dodało mu skrzydeł. Śpiewając *Rondo złotego cielca* wskoczył na wielką beczkę; załamało się pod nim denko i wpadł do środka, ale głos nawet mu nie drgnął, tylko rozjaśnił się śmiechem. W początku roku 1966 roku przyszedł do niego Krzysztof Penderecki - wtedy u progu sławy - prosząc o udział w premierze *Pasji wg św. Łukasza* w katedrze w niemieckim Münster. Ujęty grzecznością młodego kompozytora, Ładysz poczuł się w jego muzyce jak ryba w wodzie. Tym bardziej, że wszędzie się podobała. Przez piętnaście lat uczestniczył w prawykonaniach kolejnych dzieł Pendereckiego: *Dies irae*, *Kosmogonii*, obu częściach *Jutrzni* i *Te Deum*, a także w hamburskiej prapremierze *Diabłów z Loudun* jako Ojciec Barré, „doprawdy infernalny ze swą wściekłością i potężnym basem inkwizytor-egzorcysta” napisał Jerzy Waldorff obecny na premierze. Całe wykonanie utrwaliła płyta Philipsa. Zjeździł świat będąc solistą tych utworów w Filadelfii, Nowym Jorku, Waszyngtonie, Paryżu, Londynie, Rotterdamie, Edynburgu, Atenach, Bejrucie, Shirazie, a nawet w Australii - pod batutami m.in. Henryka





Bernard Ładysz

*© J. Maltarowski*

Czyża, Andrzeja Markowskiego, Marka Janowskiego, Charles'a Brucka, Zubina Mehty, Eugene'a Ormandy'ego *Te Deum* dedykowane Janowi Pawłowi II, prowadzone przez Pendereckiego, transmitowała z Asyżu Eurowizja.

Swoj donośny organ z łatwością ogarniający wielkie audytoria Ładysz potrafił czynić wzruszająco delikatnym w pieśniach. W kantylenę *Błagostawiaju was, lesa* Czajkowskiego wkładał duszę kresowiaka, znał sekrety ornamentyki, czar piano i mezzavoce przydatne w *Perskiej pieśni miłosnej* Rubinsteina. Urzekał w spolszczonych wersjach arcydzieł Schuberta: niegasnącą frazą w *Tyś ciszą mą (Du bist die Ruh)* i romantyczną nostalgią w *Wędrowcu (Der Wanderer)*. Ale na pirackich przeważnie polskich płytach Ładysza o wiele więcej, niż tego rodzaju pieśni, jest piosenek. Śpiewał żołnierskie, masowe, radzieckie, polskie rozrywkowe i rosyjskie romanse. Z pewnością rozmięniał w ten sposób swój talent na drobne, ale lubił je. Przyniosły mu szeroką popularność, bo w takim przeważnie repertuarze występował w radio, telewizji i na tak zwanych dawniej „koncertach dla świata pracy”. I jaka by nie była błaha piosenka, czepiała się pamięci uszlachetniona głosem Ładysza. Można zresztą zrozumieć, że basa takiego kalibru i koloru kusi śpiewanie popularnego *Bajkału*, i Ładysz tej pokusie ulegał.

„Mam życiorys ulepiony z głodu i chłodu, nędzy i dobrobytu, trudu ponad ludzką wytrzymałość, załamań i wzlotów” powiedział w rozmowie z Wacławem Pankiem (*Kariery i legendy 2*, wyd. II, 1987). Wileński „żulik” z Zarzecza, jak sam o sobie mawia, chórzysta u Bernardynów, jak ojciec i bracia, sierżant w III Brygadzie wileńskiej AK o pseudonimie „Janosik”, uczestnik akcji „Burza” i „Ostra Brama”, uciekinier spod kul plutonu egzekucyjnego, więzień obozu pracy w Kałudze nad Oką, podśpiewujący pod knutem leśny drwał, którego słuchał towarzysz niedoli Henryk Czyż – w 1946 roku przedostał się do Polski. Wypchnięty z zatłoczonego pociągu w biegu, przyplącił to urazem kręgosłupa. W Warszawie znalazł pracę pomocnika magazyniera w Zjednoczeniu Przemysłu Konfekcyjnego i ciepły muzyczny kątek u organisty kościoła przy placu Zbawiciela, aż przyjęto go na solistę do Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Niesubordynowany uczeń Wyższej Szkoły Muzycznej im. Chopina zwyciężył w konkursie wokalnym YMCA





Bernard Ładysz

© J. Malczewski

w Warszawie (1947); jako nagrodę specjalną otrzymał płaszcz i kapelusz ze znanej warszawskiej firmy Stefan Cieszkowski... Uzyskał wysokie nagrody na festiwalach w Budapeszcie (1949) i Berlinie (1951).

W Teatrze czuł się spętany. Drażnili go partnerzy, reżyserzy, niskie pensje, rygory pracy, kolejni dyrektorzy – znajdował dobre słowo dla Bohdana Wodiczki, i dla niektórych dyrygentów. Lubił brygadzystów sceny i garderobianych. Drwił z zasad higieny głosu i przygotowywania roli. Ot, zajmował się tym co zwykle, a potem szedł do Opery i ubierał kostium. „Inaczej kłamałbym na scenie” rzekł. Rzeczywiście, nie kłamał. Zawsze był Ładyszem, a jednocześnie człowiekiem, którego akurat grał. Tę zdolność wykorzystywał film. Grał u Wajdy w *Ziemi obiecanej*, u Konwickiego w *Dolinie Issy*, u Hoffmana w *Ogniem i mieczem*. Macierzysty Teatr Wielki opuszczał w atmosferze konfliktu, przebywszy w nim prawie trzydzieści lat. Od 1979 roku w kraju zachodziły zmiany, wszystko było już możliwe, i szeptano, że Ładysz zamierza być dyrektorem Opery...

W latach osiemdziesiątych dał szereg koncertów w kościołach. Za sceną zateęsknił. Zagrał Tewje Mleczarza w polskiej premierze *Skrzypka na dachu* w Teatrze Muzycznym w Łodzi (1983) i w przedstawieniu stołecznej Opery (1993); wcześniej przyjął tu rolę Miechodmucha w *Krakowiakach i Góralach*, i bardzo serdecznie przyjmowany był przez publiczność. W 2008 roku warszawska Akademia Muzyczna im. Fryderyka Chopina przyznała mu tytuł doktora honoris causa. Nową dlań rolę w todzie i birecie odegrał z taką samą powagą i werwą, jak wszystkie poprzednie. Ceremonialny charakter uroczystości ubarwiło wystąpienie świeżo mianowanego doktora. Ładysz nie zawahał się ubawić audytoriuma nęgotą i zanucić fragmentu jednego z eswych największych przebojów: *Pieśniomatce* – domatki żywił zawsze najgłębszy szacunek i miłość. Niespodzianką było bardzo osobiste wystąpienie ówczesnego marszałka Sejmu RP, niegdyś zwierzchnika Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego Bronisława Komorowskiego, dziś prezydenta. Wolno wkroczyła na estradę, by złożyć Ładyszowi gratulacje, para kombatantów AK ze sztandarem.

Przez pięć lat pukał i stukał, aż zbudował pod Warszawą dom. Założył przy nim ogród. Uprawia go. Dobrze kucharzy, zwłaszcza potrawy wileńskie. Ma osiemdziesiąt osiem lat. Zdrowie i głos – ten słynny, najlepszy nie tylko w Polsce na przestrzeni całego półwiecza ładyszowy bas – już mu nie dopisują.



© Matgorzata Komorowska  
maestro@maestro.hb.pl